

„Pracy! zawola, gdzie praca?  
Dziecko chce ocalić pracą!  
Lecz świat się od niej odwraca,  
Mówi: „Dziewczyna ladaco!”

Więc kiedy zmroku mgła szara  
Zaległa ulice miasta,  
U nadbrzeżnego filara,  
Stała młoda niewiasta,  
Błędem okiem wody pieści,  
W ton pochyla się zuchwale...  
I krzyk ostatniej boleści  
Zimne przytłumiły fale.

## III.

W świetnym i modnym salonie,  
Gdzie każdy swe sżpony chowa  
Wijąc się w zręcznym ukłonie,  
Gładka toczy się rozmowa.  
Zabawa trwa już od rana,  
Obchodzą dziś imieniny  
Znanego dobrze młodziana,  
Kochanka biednej dziewczyny.

Rosną obmowy i baśnie,  
Wesoło żart i śmiech płynie,  
Bo ktoś opowiada właśnie  
O uwiedzonej dziewczynie;  
Podnoszą zdrowia puhary...  
Świat bo się łatwo nie zraża,  
Wiecznie on depcze ofiary  
I ściska rękę zbrodniarza.

M. Rodoń.

## POJEDYNEK

Kazanowy z Branickim  
w Warszawie.(Według rękopisu z Archiwum Wróblewieckiego. T. III.  
Wydawca W. T.) \*)

W roku 1765 wracając z Petersburga, na końcu października zjechałem do Warszawy, gdzie zaraz rozmaite zaczęły się zbiegać okoliczności wpływające na zdarzenie, które mi mój pobyt w tem mieście pamiętnym uczyniło. Opatrzony pojazdem i służącym na miesiąc najętymi (cudzoziemiec bowiem w Warszawie inaczej pokazać się nie może),

\*) Jeden z roczników niemieckich umieścił wiadomość o życiu Kazanowy (Casanowa) i wyniki z pamiętników jego. Pomiędzy tymi szczególnie ciekawym, a mianowicie dla polskich czytelników, jest opis pobytu Kazanowy w Warszawie i pojedynku jego z Branickim. Pomijając szczegóły życia tego człowieka, który w przebiegłości swojej i w dowcipie jedyny sposób utrzymania się znajdował, który ostatecznie nie był niczem innym jak tem, co Francuzi chevalier d'in-dustrie zowią, umieszczamy tutaj w wiernym tłumaczeniu opis stolicy naszej pod względem jej zwyczajów w owym czasie, przez samego Kazanowę kresłony, który prócz żywości i wierności w oddaniu znamienitych go zarysów i tem się zaleca, że cudzoziemiec dobrze w Polsce przyjęty, niewdzięcznością i jak zwykle potwarza jej się wyplacił †).

†) Rękopisem ten niewiadomej ręki. Przypisek powyższy do niego także współczesny, dyktowany przez Urszulę Turanowską.  
(P. wydawcy.)

jadę do księcia Adama Czartoryskiego Gen. Ziem. Pod. Posel Angielski przy dworze Petersburgskim dał mi list zalecający do niego. Zastąpiłem go w bibliotece a razem jego sypialnym pokoju, siedzącego przy dużym stole, okrytym pismami i drukiem, otoczonego 40 do 50 osobami.

List przezemnie oddany zawierał 4 stro-nice. Książę przeczytał go do końca i w bar-dzo pięknej francuzczyźnie rzekł do mnie: „Osoba zalecająca mi WP. w wysokim sto-pniu mój szacunek posiada; na nieszczęście jestem w tej chwili niezmiernie zatrudniony, lecz bądź WP. tak łaskaw w wieczór dziś do mnie wstąpić, jeżeli nic lepszego nie będziesz miał do czynienia.“

Siadam do pojazdu i zajeżdżam do pa-lacu księcia Sulikowskiego. Ten książę prze-znaczony na ambasadora do dworu Ludwika XV, miał wkrótce się udać na swój urząd. Był on najstarszym z czterech braci, a przy gruntownym rozsądku, zatrudniał się niezliczonymi projektami w guście księdza St. Pierre. Właśnie miał korpus kadetów odwiedzić, przeczytał jednakże mój list i rzekł do mnie: „Dużo mamy z sobą do mó-wienia; zrób mi WP. tę przyjemność i za-jedź do mnie o 4tej godzinie na obiad, je-żeli nie masz nic lepszego od czynienia.“ Chcąc czas jako tako przepędzić, usłuchałem służącego, który mi o jakiejś operze gadał, do której każdemu wolny był przystęp. Przyjeżdżam, i nie znając nikogo i od ni-kogo nie znany, przepędzam tak trzy go-dziny. Wiele tam było przyjemnych śpie-waczek i tancerek, najznakomitsza między niemi zwała się Catani, była rodem z Me-djolanu i wiele tak o niej jak o jej ziomku niejaki Tomatys, który bardzo gry lubił, i przez nią swe szczęście zrobił, słyszałem. Prowadził on operę włoską komiczną (opera buffa) i posiadał względy Catani, która nie umiając prawie tańcować, pierwsze role w baletach grywała. Zastąpiłem już stół księ-cia Sulikowskiego gotowy, przy którym prze-szło 4 godziny siedzieć musiałem. Książę rozmawiał o wszystkim, wyjąwszy o rze-czach mi znanych, polityka i handel jedy-nie go zajmowały, a im mnie w tem słab-szym widział, tem świetniej się sam ukazy-wał; ja w ciągłym zostawając zadumieniu, zjednałem sobie jego przychylność.

Ponieważ nic lepszego nie miałem do czynienia (od wszystkich bowiem panów te wyrazy słyszałem), udałem się do księcia Adama Czartoryskiego. Ten oznajmiwszy towarzystwu imię moje, każdemu z osobna mnie przedstawił. Zastąpiłem tam księcia biskupa Krasickiego, W. Pis. K. Rzewuskie-go, Ogińskiego, wojewodę Wileńskiego itp. Tak nam zeszło z pół godziny, gdy wtem wchodzi jakiś szlachetny i przystojny mę-

czynna; wszyscy powstali, książę Adam przedstawiwszy mnie nowo przybyłemu, obrócił się do mnie i z zimną krwią rzekł: „To jest król!“ Taki sposób przedstawiania cudzoziemca królowi nie był zapewne z ro-dzaju tych, które odwagę odejmują, albo ją przez świetność majestatu przytłumiają; jednakże nadto jest oryginalny, ażeby co-kolwiek nie zmieszal. Tej myśli, aby to miał być żart, nie przypuszczałem do głowy i zaraz postąpiwszy naprzód dwa kroki, chcia-łem ukląć, gdy mi J. K. M. łaskawie rękę podawszy, z największą oznaką przychy-lności pocałował ją pozwolił. Gdy król chciał zacząć ze mną mówić, podał mi książę Adam list od posła angielskiego; uprzejmy monarcha przeczytawszy list, zaczął mi ró-żne pytania, tyżące się cesarzowej rossyj-skiej i osób bliżej ją otaczających, czynić. O tem mogłem mu dokładnie dać wia-domość, których monarcha z prawdziwą ciekawością słuchał. W kwadrans potem dano znać do stołu. Król, który mnie słu-chać nie przestał, zaprowadziwszy mnie do stołu, po prawej mnie przy sobie posadził. Stół był okrągły, i wszyscy dobrze zajadali, król tylko nie jadł, a ja choćbym był nie był na obiedzie u księcia Sulikowskiego, ani bym był pomyślał o jedzeniu, tak mnie ten zaszczyt nasycił, że byłem jedyną osobą, ściągającą na siebie uwagę króla i wszy-stkich. Jeszcze po stole czynił król różne uwagi nad tem, co wprzód powiedziałem, a to w najprzyjemniejszy sposób. Oddalając się, powiedział mi król, iżby mu to wiele ukontentowania zrobiło, gdyby mnie codzien-na na swoim widział dworze. Gdy odchodził, książę Adam zapytał mnie się, czy nie chcę być jego ojcu przedstawiony, i zaraz na 11tą godzinę nazajutrz mnie zamówił.

Król Polski był wzrostu średniego, pię-knie zbudowany; nie był on w właściwym znaczeniu piękny, lecz wyraz twarzy jego był pełen dowcipu i ujmujący; twarz miał krótką, i gdy milczał, zdawał się mieć do melancholji skłonność; gdy zaczął mówić, pokazywała się jego wymowa, a gdy jeszcze przedmiot był stosowny, umiał go delika-tnym okrasić żartem, i wszędzie wesołość rozpościerał. Wróciłem do domu, bardzo kontent z uczynionego wstępu na świat.

Nazajutrz rano, o naznaczonej godzinie poznałem rzadkiego człowieka, starego księ-cia Czartoryskiego, wspaniałego wojewodę Ruskiego; zastałem go w szlafroku, koło niego pełno było polskiej szlachty w naro-dowym stroju, w butach kolorowych, z wą-sami i podgolonemi odkrytymi głowami. Sam zaś stając to do jednego to do dru-giego przemawiał i zawsze uprzejmie lecz z powagą odpowiadał. Gdy mnie syn jego nazwał, obrócił się do mnie wojewoda, a

w przemówieniu swoim przyzwoity środek między dumą a poufalością ukazał. Nie mógł on się nazwać przystojnym, lecz wyraz twarzy jego był piękny, mowa i organ szlachetne, a wysłowienie się łatwe. Ani on nie miał mówiącego z nim, ani też nadto przystępnym czynił. Przez to stawiał się w możliwości poznania każdego w rzeczywistym stanie. Gdy usłyszał, że dla zabawy i dla poznania dworu w Rossji pewien czas przepędził, rzekł: iż zapewno te same powody mnie tutaj sprowadziły, i zaraz ofiarował mi pośrednictwo swoje w czynieniu znajomości przezemnie żądanych, i dodał: iż ponieważ żyję bez familji, będzie mi miło za każdą razą, gdy gdzie indziej proszony nie będę, widzieć mnie u siebie na obiedzie i wieczerzy.

Potem ubrawszy się za parawanem, pokazał się w mundurze swego pułku, francuzkim krojem zrobionym, w blond alonge peruce, słowem w kostiumie zmarłego Augusta III. Tak powitawszy kompanję, wszedł do pokojów, które jego przychodząca do zdrowia małżonka zajmowała. Złożył on dla niej krzyż Maltański i odbył pojedynek z konia na pistolety.

Teraz dopiero odetchnawszy cokolwiek, zacząłem się obzierać w świetnej Warszawie, w oczekiwaniu bowiem sejmu pełna ruchu i życia była. U księcia Woj. Rusk. zastałem trzy stoły, każdy na 30 do 40 osób nakryte. Przepych u tego pana przewyższał okazałość samego dworu. Książę Adam oświadczył mi, ażeby od dziś dnia zawsze przy stole ojca jego siadał. Przedstawił mnie oraz pięknej siostrze swojej, księżnej Lubomirskiej, oraz innym wojewodom, starostom itd. Nie wyszło dwóch tygodni, a już we wszystkich większych domach znajomy byłem; wszędzie mnie zapraszano na biesiady i bale, które codziennie dawano. Szczupłe dochody moje nie dozwalały mi gry i nakazywały oszczędność. Dzień mój rozdzieliłem sobie tak, iż rano przepędzałem w pięknej bibliotece księcia Żaluskiego, biskupa Kijowskiego, a po obiedzie zaś trawiłem na tryszaku z księciem wojewodą Ruskim; z nikim tak nie lubił grać jak ze mną.

Pomimo oszczędności rządowego życia, zabrnąłem w długi we trzy miesiące po mojem przybyciu. Pojazd, mieszkanie, dwóch służących i porządne ubranie, stały się przyczyną mego niedostatku. Pomocy z żadnego bądź nie było żadnej nadziei. Kto w potrzebie udaje się do możnych, jeżeli znajdzie wsparcie, traci ich szacunek, jeżeli zaś odmówią, wzgardę tylko w zysku odnosi. W tym stanie moim los szczęśliwy następującym sposobem 400 dukatów mi zesłał.

Pani Smith, którą król w swoim umieścił zamku, zaprosiła mnie do siebie na wieczór, oświadczając mi, iż król u niej będzie. Zastałem u niej przyjemnego biskupa Krasickiego, księdza Gigiotti i kilka innych osób. Król zawsze rozmowny w towarzystwie, czytany, znawca klasyków, jak może mało który z jemu podobnych, opowiadał anegdoty o starożytnych rzymskich uczonych, przytaczając scholastyków manuskrypta, o których ja i nikt podobno w życiu nie słyszał, gdyż jak się zdaje, J. K. M. sama je wymyśliła. Wszyscy rozprawiali, ja tylko milczałem, gdyż nie jadłszy obiadu, z prawdziwym apetytem wieczerzę zjadałem, tyle tylko odpowiadając, ile konieczna nakazywała przystojność. Książę Gigiotti wyzywając mnie do walki, naprowadził rozmowę na Horacjusza, chwalać jego talent delikatnej satyry. Przez to, mówić zacząłem, zjednął sobie łaskę Augusta, który przez opiekę daną uczonym na nieśmiertelną zasłużył sławę, i przymusił ukoronowane głowy o tyle się z nim współubiegać, iż sobie choć jego nazwisko dokładali, choć nim samym gardzili. Król Polski, który także przy wstąpieniu na tron imię Augusta przybrał, zastanowił się nad moimi wyrazami i nie mógł się wstrzymać od przerwania mi: „Któż, zapytał się, są te ukoronowane głowy, które imię Augusta przybrał, jego samego mało szacują?” Pierwszy król Szwedzki, który się Gustaw nazywał, odpowiedziałem, a Gustaw jest czyste przekręcenie Augusta. Brawo! rzekł, to może ujść za anegdotę. Gdzie zaś to WP. znalazł? W Wolfenbüttel, odpowiedziałem, w rękopiśmie pewnego Upsalskiego profesora. Król, który z początku wieczerzy także rękopisma przytaczał, zaczął się niezmiernie śmiać, potem wrócił się znowu do pierwszego przedmiotu, zapytał mnie: w którym miejscu, nie w rękopiśmie lecz w znany Horacjuszu znajduję dowcip przez to się oznaczający, że osładza satyrę? Mógłbym W. K. M. kilka miejsc przytoczyć, lecz tu przychodzi mi na pamięć równie piękny jak dowcipny wiersz: *Coram rege, mōvi poeta, de paupertate tacentes plus quam poscentes ferent.*

Prawda, odezwał się król. Pani Smith żądała, aby jej biskup znaczenie tych wyrazów wytłómaczył. Ten, rzecz on, który w obecności króla o swoim milczy ubóstwie, więcej ztąd odnosi korzyści, jak ten, który mu o tem gada. Dama utrzymywała, iż w tem nie ma nic satyrycznego; ja tyle już powiedziałem, milczeć musiałem. Król zaczął rozprawiać o Arjoście, i życzył sobie zemną go czytać, ja nisko pokłoniwszy się, rzekłem z Horacym: *Tempora quaeram.*

Nazajutrz gdy król ze mszy wracał, po-

dając mi rękę do pocałowania, wsunął mi w rękę dobrze zawiniętą paczkę, mówiąc: Podziękuj Horacemu i nic nikomu nie mów. Znalazłem tam 400 dukatów, którymi długi popłaciłem. Znajdowałem się potem codziennie prawie w garderobie króla, lubił on bowiem podczas ubierania rozmawiać ze mną i z tymi tylko, którzy nic więcej jak rozmawiać chcieli. Lecz o Arjoście ani wzmianki już nie było, umiał on bowiem po włosku, ale nie tyle, aby mógł mówić tym językiem, nie mógł zatem tego wielkiego rozumieć poetę\*).

Warszawa doszła do najwyższego stopnia świetności. Każdy chciał widzieć tego szczęśliwego śmiertelnika, którego dziecinne lata wcale na króla nie przeznaczyły. Wiele mu na tem zależało, by się wszystkim pokazywać, i prawdziwie był niespokojnym, kiedy wiedział o jakim cudzoziemcu w Warszawie, który go jeszcze nie widział. Nie potrzeba tam było żadnego przedstawiania, każdy cudzoziemiec miał wolny przystęp do dworu, często nawet się zdarzyło, iż sam król zaczepiał osoby, które pierwszy raz u siebie widział.

W ostatnich dniach stycznia zabawny sen miałem: Śniło mi się, że w dobrem towarzystwie siedział przy obiedzie, gdy w tem jeden z biesiadujących tak mi butelką w głowę rzuca, że cały się krwią oblewam, ja zaś zrywam się, przeciwnika szpadą przesywam, sam siadam do pojazdu i zmykam. To był cały mój sen, lecz to co mi się nazajutrz przytrafiło, odświeżyło mi go w pamięci.

Książę Karol Kurlandzki od niejakiego czasu bawił w Warszawie, nie mogłem się wstrzymać i pojechałem z nim do hrabiego Ponińskiego na obiad. Był on na ten czas W. Marszałkiem Kor. Wrótce potem został księciem, później jednak był wygnany, i bardzo smutno skończył. Chociaż dom jego był znakomity i familja bardzo przyjemna, nie bywałem jednak u niego, gdyż go ani król ani jego stronnicy nie lubili. W połowie właśnie obiadu, bez niczyjego poruszenia pękła butelka szampana, a kawał szkła uderzywszy mnie w głowę, żyłę mi otwiera, krew nie wstrzymana płynie mi po twarzy, po sukniach i po stole. Wszyscy obecni i ja wstajemy, zawiązują mi twarz, odmieniają nakrycie i kończą obiad. Zmieszczając się, nie przypadkiem, lecz przypomniawszy sobie sen, który inaczej ani by mi był przez głowę przeszedł. Inny możeby był towarzystwu sen opowiedział, lecz ja najbardziej się bałem za jakiego przywidziańskiego lub głupca uchodzić. Zresztą nie miałem

\*) Przeciwnie, St. August podobno wymienił po włosku i czytał i mówił. (P. uyl.)

tego zdarzenia  
wiem od snu  
zakończeniem  
miesiącach i

Tańcerka  
tni raz w Lo  
z Wiednia  
w Warszawie  
mych ust k  
oraz, że ja  
w Warszaw  
cującą widz  
jej jak najp  
nieść, odwi  
iż mnie z  
dowiedziaw  
łała męża  
dopóty o  
Poniatowsk  
wolę oświ  
niczego nie  
iż zadowo  
para tance  
rok ugodz  
mało Cata  
i przez ni  
tys skarży  
jaźni wyn  
muje dom  
patruje w  
borną piv  
duje chm  
stolnik M  
ronny B  
w zamku

BOH

byte

(Temistok  
strze, którzy  
grupę Oresta  
ich podejmow  
przekład z ni  
drugi w Aten  
sierotami. Ni  
koncertem w  
mu publiczno  
pozdrowienie

Oto imię,  
dumą. Syn  
się w górach  
dłui pierwsz

tego zdarzenia za nic, rzeczywistość bowiem od snu, najważniejszą rzeczą, to jest zakończeniem się różnica. Lecz po dwóch miesiącach i ta część snu się spełniła.

Tancerka nazwiskiem Binetti, którą ostatni raz w Londynie spotkałem, przejeżdżając z Wiednia do Petersburga, zatrzymała się w Warszawie. Dowiedziałem się o tem z samych ust króla u księcia wojewody; dodał oraz, że ją za tysiąc dukatów przez tydzień w Warszawie zatrzymać myśli, by ją tańczącą widzieć. Ciekawy z nią mówić i chcąc jej jak najprędzej tę przyjemną nowinę donieść, odwiedziłem ją w oberży. Zdziwiła się, iż mnie znowu w Warszawie spotyka, a dowiedziawszy się o 1000 dukatów, zawołała męża (także tancerza), który jednakże dopóty o tem wątpił, dopóki sam książę Poniatowski nie przyszedł, królewską im wolę oświadczyć. Tomatys, dyrektor opery, niczego nie szczędził, wszystko tak urządził, iż zadowolenie króla osiągnął; a nowa para tancerzy tak się podobała, iż ją na rok ugodzono i zatrzymano. Zgryzło to nie mało Catani, zgasła bowiem przy Binetti i przez nią swych wielbicieli traciła. Tomatys skarży się na przeszkody, z ich nieprzyjawni wynikające; Binetti tymczasem najmuje dom, jak najmodniej go mebluje, opatruje w podwójne zastawienie, w wyborną piwnicę, wykwinną kuchnię, i znajduje chmarę wielbicieli, pomiędzy którymi stolnik Moszczyński i W. podkomorzy koronny Branicki celują; ostatni mieszkał w zamku tuż przy pokojach królewskich.

(C. d. n.)

## BOHATEROWIE GRECJI.

PRZEZ

EUGENJUSZA YEMENIS

byłego konsula Grecji w Paryżu.

Z francuskiego przełożył

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

II.

### Marko Botzaris.

(Temistoklesowi i Izabelli Anino, bratu i siostrze, którzy pięknością i miłością ku sobie przypominali grupę Orasta i Elektry wędrownemu artyście, w domu ich podejmowanemu tak, jak u nikogo z ziomków, ten przykład z niezmienną serdecznością poświęcam. Po raz drugi w Atenach nie zastałem już ojca waszego, a was sierstami. Nie zapomnę jednak pola, jakie otworzył przed koncertem w swym domu, dla zapoznania artysty z obcą mu publicznością. Często odemnie jego pamięć, a wam pozdrowienie braterskie od tłumacza, co Grecję ukochał „na zawsze“.) W. T.

I.

Oto imię, które Grecy wymawiają z największą dumą. Syn Kitsosa Botzaris, który przesunął nam się w górach Suli, urodził się on r. 1788, i spędził pierwszą młodość w Wurgarelli, wiosce pod

górami Dżumerka, na północ sąsiedniej od Solleidy, w Altamajaj.

Po klęsce Suljotów w r. 1803, Kitzos napróżno próbował ochronić tych, co się w kolo niego zgromadzili. Napadnięty przez wojska baszy Janiny, zamknął się w monasterze z kilka set żołnierzy, kobiet i dzieci, i przez kilka tygodni wytrzymał powtarzające się szturmowania Albańczyków. To było szkołą wojskową młodego Marka Botzaris. Ale monaster zdobyto, a obrońców jego wymordowano. Kitzos, Marko i pewna niewiasta, której imię dla historii stracone, w troje zdołali się przedrzeć przez bandy tureckie, i dostali się do Parga. Marko Botzaris był jednym z Greków, którzy poszli służyć wojskowo we Francji. Pobyt jego tamto nie zostawił żadnych śladów; w lat kilka wrócił do Korfu, by zorganizować oddział Suljotów.

Kolokotroni\*) powiada, że go spotkał r. 1814 w chwili, gdy miało nastąpić starcie między Francuzami a Anglikami. Kolokotroni był w służbie angielskiej. Wabił on Marka, by przeszedł na jego stronę. Jakże chcesz, odrzekł tenże, bym opuścił sztandar, któremu przysięgłem? Każdy z swej strony! Gdy strzały ustają, uściskamy się. Kolokotroni uznał tę wierność Marka, po skończonej bitwie uściskał go i obyczajem Greków złączył się z nim węzłem braterstwa. Pobyt Botzaris w Europie, widok wielkich wypadków, których był świadkiem, dały mu niesłychaną wyższość nad wszystkimi wodzami w wojnie o niepodległość. Nie umieli oni się pod wpływem barbarzyństwa, w jakim wzrosli i na które patrzyli, otrząść z wzajemnej zawiści i knowań, które tyle rozczarowań sprawiły szlachetnym Europejczykom, przybyłym do Grecji r. 1820 i 1824, którzy przepożeni ideami i tradycjami klasycznymi, sądzili, że zaraz spotkają Arystydesów, Militiadów lub Filipomenów w każdym z przywódców oddziału helleńskiego. „Jeden“ Botzaris odpowiedział oczekiwaniu cudzoziemców, którzy walczyli przy jego boku, i urzeczywistnił ich ideał. Filhelleni, których pytaliśmy, lub czytali wspomnienia, w jeden akord uwielbienia dla tego bohatera zstrajają swe głosy i stwierdzają słusność nadanego mu imienia Leonidasa. Z wszystkich olbrzymów starożytności, ten jeden wzbudzał zazdrość Botzaris swą chwałą; mówił o nim bezustannie i marzył o wynalezieniu sobie drugich Termopyłów i podobnej śmierci.

Z gorącym patryotyzmem, z lwią odwagą, łączyl on żywą bystrość umysłu, łatwość wysłowienia, która bez usiłowań wznosiła się do potęg wymowy, znajomość gruntowną rzeczy wojskowych i potężną ładzę sławy. Zjednał sobie wszystkich, co się doń zbliżyli, słodyczą obejścia, a ogólny szacunek zacnem postępowaniem i nieposzlakowanym charakterem. Można rzec, że życie jego o tyle wolno jest od wad, ile mieści przymiotów i wielkich czynów. Edward Blankiers, członek komitetu Helleńskiego, długo bawiący w Atenach, znający osobiscie Marka Botzaris, takie o nim składa świadectwo: „Obok przymiotów, jakie daje wychowanie i wykształcenie, Marko Botzaris odznaczał się wszelkimi cnotami, przystępnymi człowiekowi, a były one tak pełne w nim prostoty, że przykład ich znajdujemy tylko w Plutarchu. Od pierwszej młodości był nadzieją, a później podziwem swego kraju, jako obywatel, patriota i

żołnierz.“ Jak cała prawie rasa Suljotów, Marko Botzaris był niski, blondyn, swinny i silny, po grecku nosił długie włosy, opadające mu na ramiona. Fizjonomia jego, równie jak charakter, miała wyraz słodczy, energii i śmiałości, a osoba jego niewiedzieć jakim urokiem oczarowywała każdego, który doń się zbliżył. Botzaris był bohaterem w całym znaczeniu tego wyrazu. Historia, najbezsronniejsza, zebraawszy wszystko za i przeciw, nie rzuciła najmniejszego cienia na tę postać romantyczną, którą nowsza poezja grecka otoczyła takim urokiem.

W r. 1820 Marek wylądował na wybrzeżach Chamuri z kilku set Suljotów, wróconych z wygnania. W tej epoce, Ali Pasza blokowany był w Janinie, brawując przez lat 12 wyroki śmierci, wydawane przeciw niemu przez sultana. Obłożony przez 20.000 ludzi, pod Seraskierem Izmaelem, bronil się z całym szalem rozpacz i nie posiadał już jak swój pałac nad jeziorem i górę Suli, gdzie wznosił warownię najłatwą działami na miejscu słabej wieży Kiassa. Marko Botzaris przekraczając granice Epiru, pragnął przejść jak najprędzej ku „meteczom“\*) gór Suli, w których oczekiwali go jego towarzysze. Nie sądząc, by chwila powstania Grecji dojrzała już, chciał pozostać w środku między sultanem a jego buntowniczym współzawodnikiem, i sądził, że siły obu osłabną w tej wojnie domowej. Tymczasem, chciał z góry Suli uczynić ognisko rewolucji Greckiej, tak jak to uczynili Moskale w r. 1790, ale szybki pochód wypadków uniemożliwił wykonanie tego zamiaru. Za radą sędziwego Nothi Botzaris, stryja Marka, Suljoci w liczbie 800 z dziećmi i żonami udali się do kwatery Izmaela Paszy pod Janiną, prosząc, by na ich ryzyko wolno im było zająć Suli, w których stał jeszcze silny oddział Alego Paszy. Żądali również powrotu a nietykalności wszelkich przywilejów, jakich używali ich ojcowie. Izmael przystał na wszystko, byle pomogli mu w szturmie Prewazy, którą bronil zaciecie Wely, znany nam syn Alego. Preweza w parę dni padła pod ciosami Suljotów i M. Botzaris, którzy upomnieli się zaraz o należną nagrodę.

Izmael\*\*) dla różnych wybiegów odłożył dotzymanie obietnicy. Suljoci przebiegli a roztropni, postanowili nie brać żadnego udziału w walce, i patrząc na nią z daleka, osiedli w wiosce St. Nikolas, nad jeziorem Janiny, u stóp góry Paktoras. Ali o tem uwiadomiony, poczał ich wabić ku sobie. Środek jakiego użył dla skrytości, był taki: Cały dzień kazał strzelać na biwak grecki, i wystrzelił na niego mnóstwo bomb. Żadna jednak nie wypaliła. Grecy zdziwieni tym fenomenem, rozłupali wszystkie, z razu skłonni myśląc, że to jakiś cud, znaleźli w każdej bombie kilkanaście sztuk złota i bilet od Ali Paszy, obiecujący wszystko i wzywający posłów Suljoekich do siebie. Żądał, by na znak zgody zapalili trzy płomienie i szli ku brzegowi do Gaury, kędy łódź na nich czeka. Marko Botzaris udał się zaraz z kilkoma towarzyszami. Stary lis użył wszelkich fortelów, by sobie zjednać dawnych nieprzyjaciół tak przez niego skrzywdzonych, rozdzielił przed nimi firmam sultana, który polecał wygubić wszystkich chrześcijan, a najprzód Suljotów. Kapitanowie podpisali ofiarowany im układ, na mocy którego Ali oddawał im cały kraj i ofiarował zakładników.

\*) Historia wypadków greckich r. 1770 do 1830, dyktowana przez Teodora Kolokotroni synowi swemu Konstantynowi. (Ateny r. 1846. Terretti.)

\*) Meteczami zwą Grecy nistylko zjawiska sferyczne, ale i szczyty gór, wyrażenie u nich bardzo utarte.

\*\*) Po Napoleódsku (I)

(P. H.)

Czarnooka to drużyna;  
Ale we łzach oko moje,  
Że z ich piersi ssać słodycze  
Będzie plemię niewolnicze.

16.

Na przyłasku Sunium siędę  
I z falami głos mój złączę,  
Z niemi tam narzekać będę  
I jak labędź nucąc skończę:  
Z więzów tych rozkuję duszę —  
Puchar mój samijski kruszę!

Wiktor z Baworowa.

## POJEDYNEK

### Kazanowy z Branickim

w Warszawie.

(Ciąg dalszy.)

Od tego czasu dzielił się parter na dwie części. Catani pomimo mierności swego talentu, nie chciała nowo przybyłej ustąpić pierwszeństwa. Ona w pierwszym, Binetti w drugim tańcowała balecie; kto jednej klaskał, milczał gdy druga się pokazywała, i na wzajem. Ja wielu mocnymi i miłymi z Binetti złączony byłem obowiązkami; lecz gdy cała familja Czartoryskich i wszystkie osoby do niej lub od niej zależące, trzymała stronę Catani, a na ich czele był książę Lubomirski, który mi wiele okazywał względów, nie mogłem dla Binetti opuścić Catani bez ściągnięcia na siebie niechęci wszystkich tych, którym tyle winien byłem. Binetti gorzko mi to wyrzucała; żądała o demnie, bym na teatrze nie bywał, a Tomatysowi za wszystkie przykrości, których od niego doznawała, wieczną poprzysięgła zemstę. Jaśniej się nie wytłumaczyła, lecz skutek pogroźek dał się wkrótce biednemu Tomatysowi we znaki.

Xawery Branicki W. kancl. koron. kaw. Orła białego, pułkownik ułanów, był młody i ujmujący; służył on 6 lat we Francji, a teraz wrócił z Berlina, gdzie jako ambasador nowego króla Polskiego, miał z Fryderykiem Wielkim do czynienia. Był on przyjacielem króla i pierwszym wielbicielem Binetti.

Jemu to ona zwierzyła się z wszystkich swych chęci zemszczenia się na człowieku, który jako dyrektor teatru, wszelkich używał sposobów, ażeby ją wygryźć. Hrabia musiał jej zemstę poprzysiędz, a gdyby okoliczność jej wykonania sama się nie zdarzyła, przyspieszyć ją obiecał. Sposób, jakim ten Polak wziął się do tego, był szczególny i nadzwyczajny.

Dnia 20. lutego udał się Branicki po operze i baletach do loży, gdzie się Catani

przebierała; nikogo tam nie zastaje, prócz Tomatysa, który pozostał. Tomatys i Catani rozumieli, iż Branicki poróżniwszy się z Binetti, chce teraz Catani przyznać tryumf, o który ona nie wiele dbała. Nie zanie dbała jednakże wszelkich mu czynić grzeczności, gdyż samo ich odmówienie na wielkie już narażało niebezpieczeństwo.

Gdy się już Catani przebrała i chciała do domu jechać, grzeczny Branicki podaje jej rękę, chce ją do pojazdu prowadzić, który już zajechał. Tomatys szedł za nimi, ja stałem na dole, czekając na mój pojazd, śnieg bowiem płatami się sypał. Catani nadchodzi, otwierają pojazd, wsiada, a za nią Branicki. Tomatys patrzy się nieporuszony. Wsiądz WP. do mego pojazdu i jedź za nami, ozwał się podkomorzy. Do żadnego innego jak do mego pojazdu nie wsiądz, odpowiedział Tomatys, bądź zatem pan tak łaskaw i wsiądz. Ruszaj! krzyknął Branicki. Tomatys kazał stanąć, stangret swego pana słuchał. Wtedy Branicki zmuszony wsiądz, rozkazuje swemu huzarowi dać niegrzeczemu Tomatysowi w policzek; ten rozkaz tak prędko i dokładnie wypełniony został, że biedny Tomatys nie miał nawet czasu wydobyć szpady, którąby zhańbienie swoje oczyścił. Tego on nie zrobił. lecz siadłszy do pojazdu, do domu jechać kazał, ażeby tam mógł strawić policzek, który mu zapewne apetyt do wieczery odjął. Byłem do niego zaproszony, lecz będąc nacownym świadkiem tego przypadku, nie miałem dość odwagi iść do niego; zniechęcony i tą myślą dręczony, że i mnie mogłoby się coś podobnego trafić, udałem się do domu. Nie wiedziałem, czyli ta zniewaga była już pierwaj z Binetti umówiona; to zdawało mi się niepodobnym, ani bowiem Branicki ani Binetti niegrzeczności Tomatysa przewidzieć nie mogli. Branicki siadając do pojazdu Tomatysa, nie przestąpił praw grzeczności, zapomniał tylko o ceremonjach. Równieby sobie był postąpił, gdyby Tomatys był jego przyjacielem, i chyba tylko zadości Włocha mógłby się obawiać. Jeżeli i to przewidział, nie potrzebował jak tylko się na obrażenie wystawić, przedsięwziął bowiem jak się zdaje zabić tego, któryby go zelżyć się odważył. Dopiero gdy się widział obrażonym wybrał za zemstę policzek; gdyż to zapewne najpierwej na myśl przyszło; było to wiele, zawsze jednakże mniej, jak gdyby go był zabił. W ostatnim razie byłby zabójcą, gdyż chociaż Tomatys był również uzbrojony, ludzie Branickiego nie byłiby mu zapewne dali czasu do obrony. Mimo wszystkiego jednak, powinien był Tomatys choćby sam miał poledz, zabić huzara, który go śmiał skrzywdzić. Nie trzeba było do tego więcej odwagi, jak do zmuszenia kan-

clerza do opuszczenia pojazdu, nadto powinien był być w chwili obrazy na odwet przygotowanym.

Przypadek ten rozszedł się nazajutrz po całym mieście. Tomatys dwa tygodnie z domu nie wychodził, i daremnie tak króla jak i jego należących błagał o zadosyć uczynienie. Sam król nie wiedział, jak miał cudzoziemca zaspokoić. Branicki bowiem utrzymywał, iż tylko odwet uczynił.

Tomatys zwierzył mi się sposobu zemsty, gdyby nie ostatnie balety, na które 40.000 dukatów wyłożył, a które by mu przepadły, gdyby z kraju uciekać musiał. Uprzejmość tylko jaką magnaci po tym przypadku więcej jak kiedykolwiek mu pokazywali i postępowanie króla, który tak w teatrze, przy stole, jak i na spacerach bardzo łaskawie i przychylnie z nim rozmawiał i postępował, słodziły mu jego niedolę.

Jedna tylko Binetti spokojnie używała tryumfu, dała mi nawet to poznać, gdy ją odwiedział, co się bardzo rzadko zdarzało, spodziewając się bowiem zostać sekretarzem u króla, pracowałem dla niego, grałem w trzyszaka z wojewodą, i nadskakiwałem jego córce, która dosyć moje towarzystwo lubiła.

Rok 1766 4go marca, w wilję imienin księcia Kazimierza, najstarszego brata królewskiego, był wielki objad u króla, na który i ja byłem zaproszony. Gdyśmy wstali od stołu zapytał mnie król: Czy będziesz, WP. dziś na teatrze? Miano tego dnia pierwszy raz grać sztukę w polskim języku. Była to nowość każdego zajmująca, prócz mnie, który ani słowa po polsku nie umiałem. Tom też powiedział królowi, na co on: To nie powinno WP. wstrzymywać, tylko WP. spróbój przyjść do mojej loży. Ukłoniłem się i byłem posłuszny. Podczas sztuki stoję za stolikiem króla. Po drugim akcie dano balet, w którym pewna Casacci, rodem z Piemontu, tak się podobała królowi, iż sam pierwszy w ręce klasnął, co było nadzwyczajną oznaką zadowolenia. Nie znałem ją tylko z teatru; ile razy byłem u księcia Ponińskiego na obiedzie, zawsze mi wymawiano, iż odwiedzając inne tancerki, ją zaniedbuję, choć się tam bardzo dobrze bawią; przyszło mi więc na myśl po skończonej sztuce wyjść z loży królewskiej i powinszować Casacci szczęścia, które ją dziś spotkało. Przechodząc koło loży Binetti, znajduję ją otwartą, wchodzę i zabawiam przez chwilę. Wtem wchodzi Branicki, którego wszyscy za jej wielbiciela znali; ukłoniwszy się, wychodzę i idę do loży Casacci, która zdziwiona, iż mnie dopiero pierwszy raz u siebie widzi, w najprzyjemniejszym mi tonie czyni wyrzuty. Zapewniając ją o moim szacunku, i że ją częściej odwiedzac

chciałem ją właśnie uściskać, gdy hrabia Branicki wchodzi. Jasna rzecz była, iż mnie ścigał, przed chwilą bowiem widziałem go w łoży Binetti. Lecz dlaczego? nie wiedziałem. Inaczej być nie mogło, jak że szukał zaczepki; towarzyszył mu podpułkownik Biniński. Gdy weszli, wstałem tak przez grzeczność, jak że rzeczywiście chciałem się oddalić. Lecz on temi mnie zatrzymał słowy: Nie na rękę WP. przychodzę; WP. kochasz tę damę. Zapewne, odpowiedziałem. A czyż jej WP. dobrodziej także godną kochania nie znajdujesz? Zapewne rzekł on. A co więcej, ona jest moją kochanką, a ja współzalotnika nie ścierpię. Bardzo dobrze, że o tem wiem, nie będę zatem więcej odwiedzał tej pani. Więc mi WP. ustępujesz? mówi dalej. Zapewne, kłóby takiemu jak pan hrabia nie ustąpił. Na to wymówił słowa za mocne, aby je powtórzyć i aby je strawić. To cokolwiek zawiele, rzekłem, i odchodząc spojrzałem mu w oczy, wskazawszy na szpadę. Świadkiem tego było trzech lub czterech oficerów.

Ledwie parę kroków od łoży odszedł, usłyszałem, iż mnie weneckim tchórzem nazwano. Na to odezwałem się do hrabiego: Na placu, nie tu w teatrze, możeby tchórz wenecki jeszcze strachu narobił polskiemu „brawi”. To wymówiwszy, odwracam się idę na duże schody, prowadzące na ulicę; tam czekam na niego, nie mając bowiem jak Tomatys 40.000 dukatów do stracenia, chciałem zaraz się na miejscu z nim rozprawić. Lecz jego nie było widać, a ja marzłem. Zawołałem więc moich ludzi, kazałem zajechać, i pojechałem do księcia wojewody na wieczór, gdzie mi sam król być kazał.

Ochłonawszy z pierwszego gniewu w pojeździe rozważyłem całą rzecz i kontent byłem, że szpady w łoży Casacci nie wyciągnął, jak też, że go się na placu nie doczekał. Biniński bowiem, towarzysz Branickiego, mając pałasz przy boku, gotów mnie był zarażać. Widziałem ja dobrze, że Branicki na poszczuwania Binetti szukał ze mną zaczepki, i zapewne chciał ze mną to samo co z Tomatysem zrobić. Wprawdzie w policzek nie dostałem, ale różnica obrazy nie wielka była, a kilku oficerów ją słyszało. Zapomnieć o obrazie nie mogłem, coś zrobić musiałem. Ale co? Zadoścuczynienie powinno było być zupełne, myślałem zatem o drodze umiarkowania, któraby wszystkich zaspokoila. Temi zajęty myślami, wpadłem do księcia Czartoryskiego, stryja królewskiego, ze stałem przedsięwzięciem prośbienia króla, aby Branickiego do przeproszenia mnie naklonił. Gdy mnie spostrzegł wojewoda, wymawiał mi, że tak długo na sie-

bie dają czekać, i podług zwyczaju siadamy do trzysaka. Gram, a po drugiej, którą przegrałem, pokazuje mi moje błędy i pyta się, gdzie głowę podział? Zgubiłem ją o trzy mile ztąd, Mości wojewodo, powiadam; na co on rzekł: Kiedy się gra z takim człowiekiem jak ja, któremu tylko o zabawę chodzi, to nie wolno jest zostawić głowy o trzy mile. To powiedziawszy, rzuca karty na stół i przechadza się po sali; ja zalekniony stoję, nareszcie przysuwam się do komina. Król miał niedługo przybyć, lecz po kwadransie wchodzi szambelan Perugotti, i zapowiada, iż król tego wieczora nie przybędzie; to był dla mnie cios ostatni. Dają do stołu, ja siadam jak zwykle po lewej wojewody. Było nas 16 do 20 osób. Wojewoda bardzo ze mną oziębły, przepuszczam dania. Wśród wieczerzy wchodzi książe Kasper Lubomirski i siada na przeciw mnie na drugim końcu stołu. Gdy mnie ujrzał, na głos do mnie gadać zaczyna, komplementując mnie i żalując wydarzonego przypadku. Żaluję WP., rzekł; Branicki za wiele pił, a uczciwy człowiek nie może być przez pijanego obrażony. Cóż się to stało? Co się stało? Zaczęli się wszyscy pytać. Ja milczałem, zaczęto badać księcia Lubomirskiego, lecz ten odpowiedział: iż kiedy ja milczę, to i on mówić nie może. Wtedy zamyślił się wojewoda i zapytał mnie z dobrocią, co między nami z Branickim zaszło. Po stole, odpowiedziałem, Mości książe, opowiem na boku całą rzecz. Obojętne rozmowy dokończyły wieczerzy, a postawszy od stołu, poszedłem z księciem do jego pokojów, gdzie mu w 5ciu lub 6ciu minutach całą rzecz opowiedziałem. Westchnął i przyznał, że miał przyczynę stracić głowę Proszę W. ks. Mości o radę, rzekłem. Ja w tym przypadku radzić nie mogę, trzeba tu bowiem albo wiele, albo nic nie zrobić.

Po tak rozsądnym wyroku, wrócił do salonu, a ja włożywszy futro na siebie, pojechałem do domu, gdzie 6 godzin spokojnie spałem, tak mocna była moja konstytucja, że mi tego dozwoliła. Obudziwszy się o 5tej z rana, zastanawiam się, co mi do czynienia pozostaje; wiele albo nic. Nic naturalnie odrzuciłem, na wiele zatem przygotować się trzeba, to jest: Branickiego zabić, albo go przymusić, żeby mnie zabił, jeżeli mi zrobi ten honor i bić się zemną będzie. Jeżeliby zaś chciał mnie zgryść i pojedynku nie przyjął, natenczas nic mi nie pozostaje, jak zostać zabójcą, a zatem być przygotowanym z katowskiej zginąć ręki.

Ustaliłem przedsięwzięcie. Pojedynek musiał być o 4 mile od Warszawy, gdyż jej starostwo na 4 mile na około się rozciągało, a kłoby się w tym okręgu poje-

dykował, na tego kara śmierci spada; to mając na względzie, napisałem bilet do Branickiego, który tu odpisuję:

Dnia 5go marca 1766 o 5tej z rana.

„Obraziłeś mnie WP. dobrodziej wczoraj dobrowolnie. Nie miałeś pan ani przychyni, ani prawa, tak ze mną postępować. Mniemam zatem, iż panu jestem na przeskrozie, i żebyś mnie chętnie z liczby żyjących wymazał. Mogę i chcę panu w tem zadość uczynić.

„Bądź pan tak łaskaw, zajechać po mnie i na takie miejsce jechać, gdziebyś pan podług praw polskich, gdy mnie zabijesz, karze nie uległ, i ja, jeżeli mi Bóg poszczęści pana zabić, wolnym był od kary. Opinja, którą o jego szlachetnych mam uczuciach, to mi wskazuje postępowanie.

„Jestem z uszanowaniem jego najniższym sługą.

Casanowa.“

List ten posłałem na pół godziny przedniem przez mego służącego do zamku, kazałem go samemu wręczyć hrabiemu, i czekać póki odpowiedzi nie otrzyma. W pół godziny następującą odebrałem odpowiedź:

„Przyjmuję żądanie WP., jednakże bądź WP. tak łaskaw i wskaż mi godzinę, w której jemu mam służyć. Najniższy sługa.

Branicki, podkomorzy koronny.“

Uszczęśliwiony tą odpowiedzią, zaraz do niego napisałem, iż go jutro o 6tej z rana oczekuję, ażeby na pewnym miejscu tę walkę stoczyć. On znowu odpisuje mi, ażeby sam miejsce wskazał, miarę szpady posłał, do tego dodał, że dziś wszystko odbytem być musi. Na to posłałem mu miarę szpady mojej, mającej 32 cale długości, zaś co do wyboru miejsca, jemu to samemu zostawiłem, byleby tylko nie w starostwie. Zaraz na to odpowiedział mi tym bilettem, który był już ostatni:

„Wiele mi WP. przyjemności zrobisz, jeżeli natychmiast się do mnie pofatygujesz, posyłam na to mój pojazd. Jestem itd.“

Na to mu w kilku wierszach odpowiedziałem, iż moje interesa nie pozwalają mi się dziś z domu ruszać, a gdy postanowił do niego wtedy dopiero się udać, jak już bić się będziemy mieli, niech mi zatem daruje, iż mu odsyłam pojazd.

W godzinę przybywa do mnie sam hrabia, a gdy do pokoju wchodzi, zostawia swoich ludzi za drzwiami i wyprasza kilka osób będących u mnie. Potem zamyka drzwi na klucz i siada przy mnie na łóżku, gdzie dla wygody pisałem. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć; wydobyłem zatem parę krucic leżących w moim stoliku. Nie przyszedłem ja tu, rzekł on, zabić WP., tylko żeby WP. oświadczyć, iż kiedy przyjmuje pojedynek, to go nigdy do jutra nie od-

kładam. Zatem dziś albo nigdy bić się nie będziemy. Dziś nie mogę, odpowiedziałem we srodę poczta odchodzi, muszę coś skończyć dla króla.

To WP. możesz mu oddać po pojedynku. Wierzaj mi WP., iż nie zginiesz, a jeżeli zginiesz, to ci przecie król daruje. Kto raz zginie, to mu już nic lajanie nie szkodzi.

Chcę także testament zrobić.

Jeszcze i testament! Więc WP. się boisz umierać? Porzuc bojaźń, za 50 lat dosyć będzie czasu o testamencie pomyśleć.

Ale dlaczegoż pan hrabia tak się upiera żeby dziś się koniecznie bić?

Ja się chcę zapewnić. Dziś wieczór oba będziemy aresztowani przez króla. To nie może być, jeżeli WP. nic o tem królowi nie mówił.

Ja? Pobudzasz mnie WP. do śmiechu. Przecież ja wiem, jak się w takim razie postępuje. Nie darmoś mnie WP. wyzywał. Chce WP. zadosyć uczynić, lecz dziś albo nigdy.

Dobrze więc! Mnie też za wiele na tym pojedynku zawisło, ażeby go odstąpił. Przyjedź WP. po mnie, lecz aż po obiedzie, bo ja wszystkich moich sił potrzebuję.

I owszem, ja po pojedynku będą objadawał. A, apropos? Co znaczy ta miara szpady, coś mi WP., przysłał? Ja się chcę strzelać. Nigdy się z nieznajomymi nie biję.

Cóż WP. nazywasz nieznajomy? Dwudziestu panu świadków w Warszawie postawię, jako ja słabo się biję. Ja nie chcę się strzelać, i do tego hrabia przymusić mnie nie może. Zostawiłeś mi WP. wybór broni, oto jest list. (Dok n.)

### Wspomnienie z Wystawy obrazów we Lwowie.

#### III.

Józef Jaroszyński, obecnie w Wiedniu zamieszkały, w krótkim czasie rozwinął swój talent i dziś już należy do malarzy, chluby krajowi przynoszących. Był na wystawie obraz rodzajowy jego pędzla, „Wycieczka w Tatry“: dobrze skomponowany i wykończony. Przedstawił w nim na tle przepysznej natury tatrzańskiej, towarzystwo z pań i panów złożone, wybierające się z przewodnikami podhalskimi w góry. Figury charakterystyczne, zrecznie ugrupowane, koloryt przyjemny i prawdziwe poczucie natury, odznaczają skromny ten obrazek.

Jako pejzażysta już dawno znany Henryk Grabiński, nadesłał z Krakowa dwa olejne krajobrazy. Jeden przedstawia „Dzień pochmurny“, drugi widok „Cerkiewki w Kruszelnicy w powiecie Stryjskim“. Zieloność świeża, prawie majowa, tony kolorytu jasne, miękko zlewające się z sobą, i delikatność, że tak powiem, poglądu na naturę, spostrzegać się daje w każdym krajobrazie Grabińskiego. Nie ma w nich siły, ale jest wiele wdzięku. Oprócz olejnych, było na wystawie

kilka widoków tegoż artysty rysowanych węglem: „Widok z okolic Urycza“, „Grupa drzew“, „Skaly panienskie koło Krakowa“. Grabiński jest dobrym rysownikiem, o tych trzech widokach to więc tylko da się powiedzieć, że są dobrze rysowane. Krajobraz bez kolorytu nie robi wrażenia, chociażby najpiękniej rysowany; przekonać się o tem można było i z tych widoków Grabińskiego.

Świerzyński Saturnin, z Krakowa, przysłał dwa widoki olejne: „Widok zamku krakowskiego od strony południowej“ i „Widok ruin zamku ojcowskiego“. Punkt, z którego zdjęto te widoki, dobrze obrany. Dają one dokładne wyobrażenie o tych drogich dla każdego Polaka murach. Koloryt żywy, wykonanie staranne.

Jabłoński Izidor, także z Krakowa, wystawił portret Jana Matejki, w którym umiał zachować podobieństwo fizjonomji. Strona psychiczna jest także dobrze ujęta. Jest to jeden z lepszych bardzo zresztą licznych portretów, wyobrażających sławnego malarza. Większych rozmiarów „Matka Boska z Lourdes“, pędzla Jabłońskiego, nie robi wrażenia Matki Bożej. Nie jest ona dość religijnie, dość duchownie pojęta. Jest to ładna panna w bieli, z szarfą błękitną, stojąca w framudze skały. Róże rosnące u spodu skały, dochodzą do stóp Marji i zdają się z nich wykwiatać. Gdyby nie aureola w okóło głowy, nie wiedzielibyśmy, że to obraz święty, Matki Jezusa Chrystusa. Więcej się nam podobała tegoż malarza „Głowa św. Katarzyny“, ucieta i złożona na egipskim kołnierzu. Również umiejętnie malowany jak dwa poprzednie, obraz ten oprócz dobrego pędzla, zaleca się jeszcze tonem szlachetniejszym. Izidor Jabłoński pomiędzy małą liczbą polskich malarzy religijnych, odznacza się większą od innych podniosłością i idealnością, lubo ta nie zawsze jest obecną w jego natchnieniach.

Raczyński Aleksander, znany od dawna z talentu malarz we Lwowie, wystawił bardzo pięknie zrobioną kopję „Stańczyka“ Matejkowego. Wyborna ta kopia w znacznie powiększonych rozmiarach, daje dokładne pojęcie arcydzieła, z którego została przemalowana. Wspominając o tej ostatniej pracy Raczyńskiego, niechaj nam wolno będzie zrobić wzmiankę o wspaniałym podarunku, zrobionym przez niego dla Muzeum Narodowego w Rapperswyłu. Ofiarował do tego przybytku pamiątek narodowych portret naturalnej wielkości Bohdana Zaleskiego, w postawie stojącej wśród zieleni ogrodowej, odznaczający się artystycznym wykończeniem i podobieństwem. Podarunek to prawdziwie królewski, portret ten bowiem kosztuje najmniej z 1500 reńskich. Świadczy on o obywatelskich uczuciach artysty, które tu podnosząc z należnym szacunkiem, stawiamy je za wzór godny naśladowania dla innych naszych artystów.

Panna Geppert Józefa, wielce uzdolniona artystka nadesłała z Wiednia kopję „Portretu Rembrandta“, przez niego samego zrobionego. Doskonała to kopia, trudno o lepszą. Szkoda, że panna Geppert nie puszcza się na pole oryginalnego tworzenia. Kto podobnie jak ona włada umiejętnie pędzlem i potrafi odtwarzać arcydzieła mistrzów, ten i sam może malować piękne, oryginalne obrazy. Skromność jest zaletą talentu, ale nie trzeba zapominać, iż zaufanie w swe siły jest konieczne dla artysty.

Dobrym także kopistą jest Jan Gałuszkiewicz, malujący obecnie nakładem pani Chajekiej w Żurawiu obraz do wielkiego ołtarza w tamtejszym

kościółce. Na wystawie były trzy obrazy kopjowane przez tego artystę; wszystkie wiernie oddawały piękności oryginałów. „Wniebowzięcie Matki Boskiej“ z przepysznej obrazu Murilla, wielkich rozmiarów, powinno być zakupione do którego z naszych kościołów, napelnionych najczęściej samymi bohomazami.

Księża nasi i patronowie kościołów, mając na względzie rozkwit malarstwa naszego i znaczny postęp, jaki publiczność polska zrobiła w wykształceniu w sobie dobrego gustu, za obowiązkiem uważać powinni zastąpienie bohomazów w kościołach pięknymi obrazami. Ponieważ rodzaj religijny malarstwa u nas nie jest dość uprawiany, można w ołtarzach umieszczać kopje z obrazów Rafaela, Murilla, Corregia i innych arcy mistrzów pędzla. Kopistów dobrych nam nie brak, a pomiędzy nimi do lepszych się liczy Gałuszkiewicz, który przez wiele lat swego pobytu w Paryżu, ciągle przemalowywał obrazy znakomite dla kościołów we Francji. Księża francuzcy już od dość dawna powzięli szczęśliwe postanowienie, kopiami obrazów religijnych szkoły włoskiej i hiszpańskiej ozdabiać swoje kościoły, niechajże ich w tem i nasi księża naśladowują. Druga kopja Gałuszkiewicza była z Corregia, z słynnego obrazu „Zaślubienie św. Katarzyny“. Znany oryginał, możemy więc śmiało powiedzieć, iż kopista nie ubliżył mu w niczem, wywiązał się ze swego zadania zadawalniająco. Również doskonała kopja z obrazu Carracciiego „Głowa św. Katarzyny Sienneńskiej“, także przez Gałuszkiewicza robiona, znajdowała się na wystawie i była jej ozdobą. Kopie takie zastępują oryginały. Byłoby pożądanem, ażeby nasi malarze, zwłaszcza młodszy, więcej kopjowali arcydzieła; przyczyniliby się niemi nie mało do podniesienia poziomu estetycznego naszej publiczności.

Penther Daniel, Lwowianin w Wiedniu zamieszkały, przysłał na wystawę dwie także kopje. Jedna „portret Rembrandta“, druga portret „Bohdana Zaleskiego“ z oryginału przez Tytusa Maleszewskiego malowanego. Penther znany jest jako oryginalny malarz z pięknych obrazów, nie też dziwnego, że i kopje jego były wyborne.

J. Bogacki z Krakowa, miał na wystawie portret swojego pędzla nieodżałowanego wieszca, któregośmy w roku bieżącym stracili, Seweryna Goszczyńskiego. Jakkolwiek z fotografii robiony, portret jest bardzo podobny.

Dzbański Konstanty, sekretarz Towarzystwa zachęty sztuk pięknych we Lwowie, wystawił studjum charakterystyczne z natury robione, przedstawiające Żyda zażywającego tabakę. Z obrazów, jakie ten artysta wymalował, zapewne ten jest najlepszym. Wykończony starannie, postęp nie mały.

Hrużik Jan, malarz lwowski, wystawił portret nieznanego nam mężczyzny, zalecający się dobrą karnacją.

Malczewski Jacek, uczeń Matejki, po raz pierwszy wystąpił na lwowskiej wystawie. Chłopak krakowski przez niego malowany, jest wcale nie złym. Pędzel śmiały, oświetlenie i rysunek dobry, koloryt żywy, wszystko zapowiada niepospolity talent, który, nie wątpimy, wykształci się w przyszłości na znakomitego malarza.

Kopystyński Teofil ze Lwowa, wystawił popiersie rycerza olejno malowane. I w tej pracy spostrzegliśmy postęp, który rokuje dobrze o przyszłości tego artysty.

Chyba gdyby przyszły czasy  
Jak „Sześćdziesiąt trzeci“,  
Gdyby znowu z bronią w lasy  
Szły Polonji dzieci.

I do nowych walk za wolność  
I do nowych bojów,  
Braciom brakłoby do strzelby  
Niechybnych nabołów.

Wówczas prosiłbym goiaco,  
I to nie na żarty,  
Bym na tutki był do prochu  
Najpierwszy podarty.

W rocznicę powstania, 23. stycznia 1863.

## POJEDYNEK Kazanowy z Branickim w Warszawie.

(Dokończenie.)

Zapewno biorąc co do litery, to WP. masz rację. Lecz WP. nadto znasz świat, ażebyś się nie miał strzelać, kiedy ja mówię, że mi to wiele zrobi ukontentowania. To jest najmniejsza przysługa, jaką mi WP. zrobisz; wreszcie mniejsze jest na pistolety niebezpieczeństwo, gdyż rzadko się od razu trafi, a gdy wystrzelimy, daję panu słowo, że póty na szpady bić się będziemy, dopóki się WPanu spodoba. Chcesz mi WP. zrobić ukontentowanie?

Ja pana lubię słuchać mówiącego; wiele jest w tem życia, co mówisz, i prawdziwie czuję w sobie ochotę, przystać na tę barbarzyńską uciechę. A może jeżeli się uwzględnię, nawet ją będę dzielił. Przyjmuję zatem zmianę pojedynku, lecz tylko pod następującymi warunkami. Pan przyniesiesz dwa pistolety, które w mej przytomności nabić każesz, ja jeden z nich sobie wybiorę. Jeżeli chybimy, to się będziemy bić do pierwszej krwi na szpady. Jeżeli pan na to przystaniesz, to dobrze, bo ja i na śmierć jestem przygotowany. O 3 pan po mnie zajedziesz i pojedziemy na pewne i niepodległe prawu miejsce.

Bardzo dobrze! WP. jesteś człowiek kający się kochać, pozwól niech cię uściskam. Lecz daj WP. słowo honoru, iż nikomu o tem nie powiesz, inaczej miałibyśmy areszt.

Jak pan możesz mniemać, abym ja się na takie wystawił niebezpieczeństwo; ja gotów bym 10 mil iść piechotą, byleby dostąpić honoru bić się z WP.

Tem lepiej, rzecz zatem ułożona, o 3 się zobaczymy.

Gdy tylko odszedł, popieczętowałem papiery, i kazałem przyjść tancerzowi Campioni, któremu mogłem zaufać. Ten pakiet

oddasz mi, rzekłem, dziś wieczór, jeżeli żyć będę. Jeżeli zginę, to go oddasz królowi. Domyślasz się zapewne, o co rzecz idzie. Lecz pamiętaj, iż tu o moję sławę idzie, i że jeżeli mnie zdradzisz, nie będziesz miał większego nieprzyjaciela na ziemi jak mnie.

Rozumiem ja to bardzo dobrze. Z serca życzę, abyś WP. ztego z honorem wyszedł; jedną tylko rzecz radzę, to jest: nie oszczędzaj WP. przeciwnika swego, żeby i samym był panem świata. Życiem WP. możesz przypłacić, jeżeli jemu pobłażać będziesz. Ja to mówię z doświadczenia.

Obstałowałem dobry obiad i kazałem z dworskiej piwnicy doskonałego burgundzkiego wina przynieść. Campioni został ze mną. Dwaj hrabiowie Mniszek i Szwajcar Bertrand odwiedzili mnie podczas stołu, oni byli świadkami mego apetytu i humoru. O trzy kwadransy na 3 prosiłem gości, żeby mnie samego zostawili, i usiadłszy w oknie, oczekiwałem w gotowości przyjazdu Branickiego.

Już z daleka ujrzałem go w poczwórnej landarze, sześciami końmi ciągniętej. Dwóch masztalerzy prowadzących dwa osiadłane konie, dwóch huzarów i dwóch adjutantów jadą naprzód, za pojazdem czterech stało służących. Zatrzymują się przede drzwiami; ja czempredziej spieszę z mego trzeciego piętra, i widzę go w towarzystwie podpułkownika i ze strzelcem na przodzie. Ja obracając się do moich służących, każę im w domu zostać i czekać dalszych rozkazów. Branicki przypomniał mi, iż ich potrzebować mogę, na co ja odpowiedziałem: iż gdybym miał tyle co on służących, wziąłbym ich z sobą, lecz tych dwóch biedaków tylko mając, lepiej już zupełnie zaufać, przekonany zwłaszcza będąc, iż gdyby tego potrzeba wymagała, on mi sam dopomódzkaże. On podając mi dla potwierdzenia rękę, rzekł: iż pierwej o mnie jak o sobie pamiętać będzie. Siadam i pojazd rusza. Wszystko jak widać pierwej urządzone było, gdyż nikt słowa nie mówił. Śmiesznie by zatem było, gdybym się pytał, gdzie mnie wiozą. W takiej chwili i w takim położeniu jak my byli, najlepsza była pora do uważania jeden drugiego. Podkomorzy nic nie mówił, rozumiałem więc, iż ja powinien byłem przerwać milczenie.

Czy pan myślisz wiosnę i lato w Warszawie przepędzić?

Wczoraj tak chciałem, ale może być, iż mi WP. tego nie dozwolisz.

Nie spodziewam się w niczem skrzyżować planów pańskich.

Czy WP. służyłeś w wojsku?

Tak jest. Ale czy można się zapytać, dla czego to pytanie? — bo — tak — dlatego się zapytał, abym się o coś spytał.

Po malej półgodzinie zatrzymał się pojazd przed bramą przyjemnego bardzo ogrodu. Wsiadamy i otoczeni dworem hrabiiego idziemy do altany, naturalnie 5. marca jeszcze nie zielonej, w końcu stał stół kamienny. Strzelec położył na nim dwa półtory stopy długie pistolety, oraz worek z prochem i kulami; zmierzwszy pistolety, wsypuje proch, potem kule nabija i znowu mierzy. Potem kładzie na krzyż na stole. Nieustraszony Branicki wzywa mnie do wybrania. Podpułkownik głośno się go pyta, czy to będzie pojedynek? Na co ten odpowiada: tak!

Tutaj się bić nie można, jesteście w starostwie.

To nic nie szkodzi!

Owszem bardzo wiele szkodzi. Ja tutaj nie mogę być obecnym, jestem z gwardji zamkowej, pan mnie zwiodł.

Uspokój się, ja wszystko na siebie biorę; winien jestem zadosyć uczynić temu pocziwemu człowiekowi.

Panie Kazanova, WP. się tu bić nie możesz!

Na cóż mnie tu przyprowadzono? Ja nawet w kościele gotów się bronić.

Przedstaw WP. rzecz królowi i spuść się na jego łaskę.

Dobrze, niech tylko pan hrabia publicznie przed królem wyzna, iż wczorajszy wypadek bardzo go zmartwił.

Przy tem oświadczeniu spojrzął się na mnie z gniewem Branicki i rzekł: Ja tu na pojedynek, nie parlamentować przybyłem. Wtedy obracam się do obecnego wojskowego i mówię mu: iż sam jest świadkiem, że ja z mojej strony wszystko robiłem co mogłem, aby pojedynek odwrócić. Wtedy odszedł, załamując sobie ręce, Branicki nalega o wybór. Zrzucam futro i porywam pistolet z wierzchu leżący. Branicki bierze drugi, mówiąc: honorem ręczę, że broń moja jest bez błędu. Na tom mu odpowiedział: iż jej na jego czole spróbuję. Na tę straszną odpowiedź zbladł, rzucił szpadę pałowi, i gołe mi pokazał piersi. Musiałem choć niechętnie pójść za jego przykładem, szpada bowiem i pistolet jedyną moją stanowiły obronę. Potem odsłaniam mu także pierś moją i postępuję 5 do 6 kroków na przód. On robi to samo, bliżej nie mogliśmy stanąć. Gdy widzę, że on tak jak ja stoi, trzymając pistolet do ziemi spuszczone, zdejmuję lewą ręką kapelusz i proszę, aby mi ten honor zrobił i pierwej strzelał. Branicki zamiast natychmiast strzelić, strawił kilka sekund na układaniu się tak, aby pistoletem głowę swoją zakryć. Nie mogąc się dłużej doczekać, aż się przygotowuje zupełnie, strzelam w tej chwili, gdy on do mnie wystrzelił. O tem żadnej nie było wątpli-

wości, gdyż mieszkańcy z sąsiedzkich domów zaręczali, iż tylko jeden mocny slyszeli wystrzał. W tym momencie widząc go upadającego, chowam rękę do kieszeni, gdyż ją ranną być czulem, rzucam pistolet i biegnę ku niemu. Lecz jakżem się zdziwił, gdy klekając przy nim, ujrzałem trzy wydobyte szable przez trzech rozjuszonych dworzaków nad głową moją wyniesione, i byliby mnie na miejscu rozsiekali, gdyby podkomorzy grzmiącym się nie odezwał głosem: Wstrzymajcie się i zachowajcie się z uszanowaniem, wy...! Odstąpili, a ja podłożywszy mu moją prawą rękę pod pachę, pomagam mu powstać. Podpułkownik wziął pod drugą, i takeśmy go do oberży o 100 kroków może odległej zaprowadzili. Hrabia bardzo szedł zgarbiony, i patrzył się na mnie, nie mógł bowiem pojąć skąd płynęła krew, którą na moich spodniach i pończochach białych widział.

Jak tylko weszliśmy do oberży, siada Branicki na wielkim ksześle i wyciąga się, odpinają go, brzuch mu odsłaniają, sam swą śmiertelną spostrzega ranę, kula wpadła koło siódmego żebra od prawej strony, a wyleciała około ostatniego, odległość ran od siebie miała może 10 cali. Przykro było na to patrzeć; pewniśmy byli, iż wnętrzności były poszarpane, a zatem jego za zabitego mieliśmy. Spojrzył na mnie i rzekł: Zabijeś mnie WP., ratuj się, stracisz głowę na rusztowaniu. Jesteśmy w starostwie, należą do wyższych urzędników korony, oto jest wstążka Orła białego. Ratuj się WP., jeżeli nie masz pieniędzy, oto jest mój worek. Worek pełen złota pada na ziemię; włożyłem go nazad do kieszeni, mówiąc, iż niczego nie potrzebuję, bo jeśli na karę miecza zasłużył, sam na jej odebranie u podnóżka tronu się stawię, dodałem jeszcze, iż nie spodziewam się, aby rana śmiertelną była, a ta myśl, iż ja jestem przyczyną jego śmierci, do rozpaczby mnie przywiodła; pocałowałem go w czoło, wychodzę przed oberżę, lecz ani człowieka ani konia nie widzę. Wszyscy się po doktorów, chirurgów, przyjaciół i krewnych lub księży rozlecieli. Stałem sam na polu śniegiem okrytem, bez broni, nie wiedząc drogi do Warszawy, w tem widzę z daleka parokonne sanki, krzyczą, chłop się zatrzymuje, pokazuje mu dukata, mówiąc: Warszawa. Zrozumiał mnie, podnosi matę, wlażę, on przykrywa mnie nią dla bezpieczeństwa, lecimy w galopie, w pół kwadransa drogi spotykam Binińskiego, wiernego przyjaciela Branickiego, biegnącego cwałem na koniu z gołym pałaszem; gdyby był sanki uważał, byłby moją głowę spostrzegł i zapewne na kawalki porąbał.

Wjeżdżam do Warszawy, chcę się dostać

do pałacu księcia Adama, aby tam szukać schronienia, nie zastaję nikogo. Wtedy przychodzi mi myśl schronić się w klasztorze Franciszkańskim, 100 kroków od pałacu odległym; wysiadam z sanek i wchodzę do bramy klasztoru, dzwonię, furtjan niełitościwy mnich otwiera drzwi, a gdy mnie zakrwawionego spostrzegł, cofa się i drzwi zamyka, rozumiejąc, iż chcę przed sprawiedliwością się ukryć; otwieram drzwi, a popechnąwszy go nogą, wywracam do góry nogami. Wchodzę, na krzyk jego zbiegają się mnichy, ja pod najstraszniejszymi prośbami i zaklęciami żądam od nich schronienia. Jeden z nich rozkazuje i prowadzi mnie do jakiejś dziury podobnej do więzienia. W przekonaniu, iż później lepszą dostanę stancję wszedłem i moich żądam służących; przychodzą: jednego po doktora, drugiego po Campionego posyłam. Jeszcze tamci nie przyszli, przychodzi wojewoda Podlaski, z którym nigdy nie gadałem, lecz ponieważ i on w młodości miał pojedynek, spieszył więc, wysłuchawszy wprzód mojego, swój opowieść i wkrótce potem zeszedł się do mnie wojewoda Kaliski, ks. Jabłonowski, ks. Sanguszko, wojewoda Wileński i Ogiński; ci zaczęli od zastraszenia mnichów za to, że mnie tak jak jakiego zbiegłego złoczyńcę przyjęli; wymawiali się, mówiąc, iż znieważylem furtjana, z tego naśmieli się książe, ale ja nie, rana bowiem moja bardzo mnie boleć zaczęła. Przeprowadzono mnie natychmiast do dwóch pięknych pokoi.

Kula Branickiego wpadła mi w dłoń pod pierwszym palcem. Jej moc była osłabiona przez guzik od kamizelki i ciało, które lekko zadarła. Trzeba najpierw kulę z mojej ręki wydobyć. Pierwszy chirurg szarlatan, którego zawołano, rozerznął mi rękę na drugiej stronie dla wydobycia mi kuli, co mi bardzo ranę powiększyło. Jednakże podczas tej boleśnej operacji opowiadałem księżętom spokojnie i bez żadnego przymusu w tajemni cierpienia cały przypadek, wtedy gdy chirurg grzebał w ranie, szukając kuli, którą chciał wydobyć. Tyle może miłość własna i próżność na człowieku. Ledwie się tamten oddalił, przyszedł drugi chirurg ks. wojewody, i tamtego bez ogródki wylajawszy, wziął mnie w swoją opiekę. W tem przychodzi książe Lubomirski, mąż córki księcia wojewody, i opowiada nam wszystko, co się po pojedynku stało.

Biniński przybywszy do Woli (w Woli bowiem był pojedynek), obejrzał ranę swego przyjaciela, a nie zastawszy już mnie tam, wybiegł jak wściekły, przysięgając, iż gdziekolwiek by mnie spotkał, zabije mnie. Wpadł do Tomatysa, tam zastał Catani, ks. Lubomirskiego i hr. Moszczyńskiego. Pyta się Tomatysa, gdzie ja jestem, a gdy ten

zaręcza, że o niczem nie wie, strzela mu w głowę. Moszczyński nie mogąc znieść tej zbrodni, bierze go wpół i chce przez okno wyrzucić. Biniński wyrzywa się i trzy razy uderza pałaszem, rani go w twarz i trzy zęby mu wyrzywa; wtedy (powiada ks. Lubomirski) łapie mnie za kołnierz Biniński, przymierza pistolet do piersi i zabiciem grozi, jeżeli go na dziedziniec do konia nie sprowadzę. Nie lękając się ludzi Tomatysa, chce jechać, ja przystaję na wszystko.

Moszczyński jedzie do domu dla opatrzenia ran swoich; ja także idę do siebie, aby się bliżej rozruchom z przyczyny WP. pojedynku wynikłym przypatrzeć. Rozgłoszono, iż Branicki zginął w pojedynku, a ulany jego wszędzie WP. szukają, aby cię zabić i tak pomścić się śmierci swego pułkownika. Bądź WP. kontent, że tu jesteś.

W. Marszałek obsadził, pod pozorem zapewnienia się twojej osoby, dwóchset dragonami klasztor; lecz w rzeczy samej dla tego, ażeby zabronić tym zapaleńcom szturmowania do niego i zabicia WP. Branicki podług zdania lekarzy ma być w wielkim niebezpieczeństwie, kula przeszła mu przez wnętrzności, i wtedy tylko za jego życie ręczą, jeżeli tychże nie naruszyła. Mieszka u W. szambelana, do zamku nie wolno mu wrócić; król jednakże zaraz go odwiedził. Wojskowy obecny pojedynkowi, utrzymuje, iż tylko groźba WP., że mu w czoło strzelisz, zachowała cię przy życiu, gdyż chcąc głowę zasłonić, stanął w przymuszonej postawie, i chybił WP. Gdyby nie to, byłby WP. w samo trafił serce, tak bowiem strzela, iż trafia kulą w ostrze noża, i kulę na dwoje przecina. Drugie szczęście, że Biniński WP. w sankach nie spotkał, chociaż łatwo się mógł domyśleć, iż pod matą WP. być możesz. Mości książe! Największe podobno moje szczęście, że Branickiego nie zabił, bo by mnie byli na miejscu zarąbali. Nie byłby mógł kilku słowami wstrzymać swoich przyjaciół, gdy ich szable już nademną wzniesione były. Żałuję i przepraszam księcia za to, czegoś z mojej przyczyny doznał ubolewam nad dobrym hrabią Moszczyńskim, lecz jeżeli strzał Binińskiego nie zabił Tomatysa, zdaje mi się, iż pistolet nie był kulą nabity. I mnie się tak zdaje.

Właśnie gdy to ks. mówił, wchodzi oficer i oddaje mi list od wojewody Ruskiego. Czytaj WP. (pisał do mnie) co mnie król w tej chwili o WP. oznajmił, i spij spokojnie. W liście od króla do niego pisany, który ja sobie zachowałem, było co następuje: Kochany stryju, Branicki jest bardzo niebezpieczny, posłałem mu moich doktorów, aby dla uratowania go całej swej sztuki użyli. Jednakże i o Kazanowie nie zapo-



mniałem, przebaczam mu, choćby nawet umarł Branicki.

Z uszanowaniem pocałowałem ten list, wszyscy wielbili człowieka, prawdziwie godnego korony. Żal mi było, gdy mnie opuścili. Campioni mój przyjaciel oddał mi zapieczętowany pakiet, lzy radości wylewając mówił: iż ten czyn do nieśmiertelnej mnie wzniesie chwałę, przez cały czas stał w kącie i wszystko co mówili słyszał.

Nazajutrz pomnażały się tak odwiedziny jako i worki złota magnatów, nie lubiących Branickiego. Przynoszący oficerowie od dam lub panów pieniądze mówili, iż jako cudzoziemcowi może mi w tych czasach brakować pieniędzy, odważają się zatem opatrzyć mnie cokolwiek. Dziękując, odsyłałem zawsze pieniądze. Nie zdawało się to Campioniemu, i miał rację. Przynajmniej ze 4000 dukatów odesłałem i byłem kontent z siebie. Potem żalowałem tego. Jedną rzecz tylko przyjąłem, to jest obiad na jedną osobę, który mi codziennie ks. Adam Czartoryski przysyłał. Nie jadłem go. Vulnerate fame crucientur, było przysłowie mego doktora; on zapewne prochu nie wynalazł.

Rana moja na ciele już się goiła, lecz ręka puchnąć zaczęła, zczerniała, i lękano się o gangrenę. Doktorowie złożyli konsylium, na którym ułożyli rękę mi uciąć. Tę przyjemną nowinę oznajmili mi, gdy czytałem gazetę dworską, którą król w rękopiśmie przeglądał, a potem w nocy drukowano. Głośno się na to rozśmiał, i to wbrew tych wszystkich, którzy się zeszli nademną ubolewać. Gdy sobie jeszcze z hrabiego Clary żartował, który mnie do poddania operacji chciał namówić, wchodzi zamiast jednego trzech chirurgów do pokoju.

Po co aż trzech? Mości panowie!

Chcę bowiem, odezwał się chirurg, który mnie codzień odwiedzał, przed amputacją poradzić się tych panów profesorów. Zobaczmy teraz, jak się WP. masz. Zdejmują mi bandażę, dobywają sondy, zapuszczają w ranę, oglądają jej kolor, czerwoność puchlizny, potem rozmówiwszy się z sobą po polsku, oświadczają mi w łacińskim języku, że operacja przed wieczorem się odbędzie. Przytem zapewniają mnie, iż dobrze wyglądam, i że po operacji bardzo prędko wyzdrowieję, lecz ja wprost oświadczyłem, iż moja ręka do mnie należy, i że nigdy tej śmiesznej operacji się nie poddam.

Ale tam już jest gangrena, jutro wyżej się posunie, a wtedy aż po ramię ręka ucięta być musi.

Niech będzie co chce, całą mi rękę utniecie! Ale ja znam się na gangrenie i pewny jestem, że jej w ranie nie mam.

Przecież WP. nie będzie chciał nas uczyć. Idźcie sobie moi panowie.

Pozbyłem się ich przecie; lecz teraz zaczęły się odwiedziny, namawiana i przekonywania tych, którym doktorowie o moim uporze nagadali. Sam książę wojewoda pisał mi, iż król nie może pojąć mego tchórzostwa. Zaraz napisałem do króla, iż nie wiem, na coby mi się ręka bez dłoni i palców przydała, każe ją sobie potem całą uciąć jak się gangrena w niej pokaże. Cały dwór ten list czytał, ks. Lubomirski sam do mnie przyszedł, żaląc się, iż sobie żartuję z osób, które o mnie dbają, i że przecie w tak prostej rzeczy trzech najslawniejszych lekarzy w Warszawie mylić się nie mogą.

Mości książę, oni się nie mylą, ale rozumieją, iż mnie zwieść potrafią.

A to w jakim celu?

Ażeby się hr. Branickiemu przypodobać, który jest bardzo słaby i może takiego pocieszenia potrzebuje.

Co o tem, pozwól mi WP. wątpić.

A cóż będzie, gdy się okaże, że to jest prawdą, co ja utrzymuję?

Jeżeli tak będzie, stałość WP. na pochwałę zasłuży. Trzeba tylko, aby to się sprawdziło.

Zobaczmy; jeżeli dziś w wieczór w rękę gangrena pokaże się, jutro ją sobie każe amputować, daje WP. słowo honoru.

Wieczór zeszło się ich czterech, odjęli bandażę, ręka aż po łokieć niebieska była, oświadczając, iż ledwie do jutra wstrzymać się można; znieczcierpliwiony, zamawiam ich na jutro z instrumentami. Lecz nazajutrz każe przed nimi drzwi zamknąć, i skończyło się na tem, że zachowałem rękę.

(Autor potem opowiada, jak wszędzie jego stałość chwalono. Pokazał się u dworu, gdzie był bardzo dobrze przyjęty. Odwiedził Branickiego, który jeszcze ze sześć tygodni w łóżku pozostać musiał. Przeprosili się. Biniński był za swoją porywczosć wygnany. Kończy zaś tę cześć pamiętników swoich Kazanowa na opisanie dwutygodniowego pobytu swego w Warszawie i wyjazdu swego na Wołyń i Podole.)

### Wspomnienie z Wystawy obrazów we Lwowie.

#### IV.

Dział rzeźby na dziewiątej wystawie lwowskiej, nie był wcale obfitym: zaledwo kilku rzeźbiarzy naszych wystawiło w nim utwory swojego dłuta. Pomiędzy nimi, niewątpliwie talentem i umiejętnością góruje Marceł Gujski, rodem z Ukrainy, obecnie nauczyciel rzeźby w szkole sztuk pięknych w Krakowie. Nie można było w lepsze ręce powierzyć nauki rzeźbiarstwa. Gujski bowiem nie ma równego sobie w Polsce artysty w umiejętnym wykańczaniu przedmiotów. Dziesięcioletnia studja w Rzymie, gdzie wykonał piękny z kararyjskiego marmuru posąg Zbawiciela

dla jednego z kościołów ukraińskich, następnie kilkoletnia praca w Paryżu, wydoskonaliła jego talent do stopnia prawdziwie artystycznego. Przypominamy sobie z wystaw paryżskich popiersia Antoniego Wagi, Andrzeja Zamojskiego i pań Kochańskiej, roboty Gujskiego, jako rzeczywiste, małe arcydzieła. Na wystawie lwowskiej nie było ani brązu ani też marmuru, któryby dozwolił dokładnie ocenić całą piękność artystyczną dzieł Gujskiego. Były tylko dwa jego roboty medaljony z gliny krakowskiej i w Krakowie wypalone. Jeden przedstawiał panią Balicką, drugi Agatona Gillera. Chociaż w materiale takim ginie dla polskiego oka wdzięk artystycznej linii, nie mniej przecież piękność jej i poprawność każdy mógł ocenić. Wykonane doskonale, pod każdym względem zadawalniały te prace wymaganiami sztuki. Sumienne studja tego artysty nie dopuszczają żadnego błędu, jakoż wymiary głowy, układ włosów, czystość i delikatność wykończenia, wszystko świadczyło o wyższym talencie i umiejętności, którą za wzór stawiamy młodszym artystom.

Karol Kloss z Warszawy, przebywający obecnie we Lwowie, autor pięknej tragedji „Cajus Gracchus“, znanej czytelnikom „Ruchu literackiego“, jest przytem rzeźbiarzem. Na wystawie były trzy medaljony Klossa. Jeden brązowy przedstawiał wizerunek Tadeusza Kościuszki w starości, według portretu malowanego na kilka miesięcy przed śmiercią bohatera polskiej niepodległości, znajdującego się w Solurze u jednego z tamtejszych bankierów; drugi w odlewie gipsowym był portretem panny Deryng, artystki dramatycznej, powołanej ze Lwowa do Warszawy, gdzie ma zastąpić panią Modrzejewską, podróżującą po Stanach Zjednoczonych Ameryki; trzeci wreszcie medaljon Kubarego, znanego podróżnika po wyspach Oceanji. Portret panny Deryng tem się odznacza, iż kryza mocno występuje z powierzchni gipsowej medaljonu, a lubo subtelnie wyrobiona, sterczy przecież jak mur zębaty. Oryginalny ten sposób traktowania na medaljonie ozdoby szyi, zwracał na siebie uwagę wszystkich, nam się przecież nie podobał. Podziwialiśmy w niej więcej zreczność roboty, niż piękność ornamentu. Zresztą nie mamy nic do zarzucenia medaljonom p. Klossa. Znać w nich artystę myślącego i znającego sztukę, którego biegłość techniczna, rozwijając się stopniowo, doprowadzi go niewątpliwie do wyższego słowa w sztuce. Będącojmią świetnej jego przyszłości oprócz talentu i naukowego oraz artystycznego wykształcenia, jest jeszcze pracowitość, skromność, obok dobrego gustu oraz szlachetności natchnienia, przebijających w utworach Klossa.

Najlicniejszą była wystawa utworów rzeźbiarskich p. Tadeusza Baracza, młodego jeszcze, bardzo utalentowanego artysty lwowskiego. Wyliczymy dzieła jego, które nam zostały w pamięci. Wystawił on medaljon z białego marmuru, Ryszarda Wagnera, genialnego kompozytora niemieckiego, którego muzykę do „Nibelungów“ niedawno podziwiali całe Niemcy w Beuracii; jest to robota bardzo piękna. Medaljon z kararyjskiego marmuru rodziców Franciszka Topy, wykuty podług oryginalnych portretów tegoż artysty, przeznaczony do grobowca; Popiersie z białego marmuru księcia Leona Sapiehy; Amorek całujący Wenere, grupa z kararyjskiego marmuru; Popiersie kolosalne z gipsu Jana Matejki; Popiersie z terracoty górala tatrzańskiego; Popiersie także z terracoty dziewczynki w konfederacie;

Popiersie chemika zmarłego znaczonego świadczającego tworcę też on cach B. pośpiec djując kilka u popiersa jej cze też za się by ściśle nalnie Matejki razu r czyliś że cen byśm szego mieci deli Gdyb studj i dok twor nieza lita. rącz, dobr końc mogi dla nied chwy zaliś zimu wił dalje dnie. Tą p wisk i bui koñ mim i stu biarz z na spost chylu R. wysta z bia i pod tysty jego liśmy jest r rzezb się ja dla te delika artyst Bła -tawil drugi naszeg bardzo wiele